



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### NAD SOBEM.

czego brak mi?... Niebiosa mej ziemi  
Świecą co nocy gwiazdami złotemi,  
Srebrzą się blaskiem księżycy —  
Pod mojem oknem rozwija Sob fale,  
Że mogę w jasnoblękitnym kryształe  
Zobaczyć wzrok swój i lica.

A jeśli powiek sen długo nie mruży,  
Na łodzi białej, samotnej podróży  
Przedziwnym poję się czarem —  
Nade mną niebo, toń wodna pode mną  
I wszystkie gwiazdy płyną razem ze mną  
Wód kryształowym obszarem.

Snują się mary, księżycy blask ludzi...  
Czarowna bajka w pamięci się budzi  
O cicho śpiącej królownie —  
Wiotkie ruszałki toczą wodne koła,  
Z fal cichych: „Do nas—pójdź do nas!” głos woła.  
Tańczą uroczo, powiewnie.

Płasają duszki, owiewa mgła biała  
Ramiona, piersi i nagie ich ciała,  
Całuje—pieści—i muska...  
„Płyn łodzi... szybciej, skrzydłami lotnemi!”  
Preży się wiosło... „Boginki!” Co z niemi?  
Noc—cisza... tylko toń pluska.

Snują się mary, pierś pełniej oddycha,  
A noc miesięczna, a fala tak cicha—  
W wieńcu zieleni śpi sioło;  
Dalej step równy z mogiłą Soroki...  
...Snują się mary, czary i uroki:  
Baśń starych zaklęte koło.

A gdy się niebo świtem zarumieni,  
Na stawu cichej, spokojnej przestrzeni,  
Jak widma, mgły się kołyszają—  
Nadbrzeżne trzciny nieruchomie stoją,  
A nad tym stawem, nad tą ziemią moja  
Bezchmurne błękity wiszą.

Czekają słońca te mgły, staw i trzciny  
I owe niebios przezrocze głębiny,  
Czekają słońca... w milczeniu—  
Opodal tylko srebrzysta kaskada  
Wieczystym szumem coś gada i gada  
W drzew zanurzona półcieniu,

I oto—cicho—przez krzewy i liście  
Słoneczny promień zabłysnął złociście,  
Łagodnie stawu pierś musnął...  
Zbudził się zefir—lecz sen ma na oczach,  
Przebiegł po trzciny i wierzby warkoczach,  
Zaszumiął—westchnął—i usnął.

Wstawaj, leniuchu!... Już słońce się pali,  
Pocałunkami dreszcz budzi w wód fali,  
Oblało złotem świat wszystek—  
Budzi się leniuch i dmucha powoli  
Na mgły, na drzewa, że ledwie topoli  
Wiotkiej zachwieje się listek.

A złota gwiazdą rozwarła szeroko  
Swoje ogniste i płomienne oko  
I w wód się nurza kryształe—  
Z hojnością królów, na wody milczące,  
Rozrzuca dary monarsze król słońce:  
Rubiny, perły, opale!

Budzi się ziemia oblana gorącym  
Ramion kochanka i głosów tysiącem  
Szumi—gra—śpiewa i dzwoni...  
O, dawco życia!... tchnień twoich czar piję,  
Kocham i roję i tworzę i żyję  
I myślę... Myślę wciąż — o „Niej!”  
Duszów, d. 18 Sierpnia.

*Kazimierz Gliński.*

### KOBIETA ANGIELSKA.

JEJ CELE I DAŻENIA.

IV.

Każde bieżące piśmiennictwo ma wtedy tylko wartość rzeczywistą, gdy staje się zwierciadłem współczesnego życia i właściwych mu stosunków społecznych. Przewrót więc pojęć, wytworzonych przez rozwój kwestyi feministycznej, musiał odbić się szerokim echem w literaturze angielskiej. Bardzo poważna, jedna z najbogatszych, najwspanialszych w Europie, literatura ta liczy, wśród chwał geniuszów swoich, cały za-



stępienie imion kobiecych. Sam fakt ów wystarczał, by przy rozbudzonej myśli, przy podnieconych ambicjach i przyspieszonym tętnie w głowach niewieścich, rzucił liczny zastęp dziewczyn młodych na tory literackie.

Ta obfitość piór, niepowołanych często, a przy wielkim nawet zapale, mało uzdolnionych, wywołała liczne protesty i narzekania. Literatura angielska zginie, zatone w powodzi utworów wodnistych, — wołano na wsze strony. Nie zginęła jednak, nie zatoneła. Zastępy mniej utalentowane cofnęły się stopniowo, „najazd“ ich wszakże na literaturę, jak każdy atak sił młodych, idących lawą zwartą, zrobił swoje i dopiął celu, bo wybił szczyt w dotychczasowej zaśniedziałej a nieugiętej rutynie. Założył bowiem specjalną szkołę dla zecerki i wprowadził kobiety do drukarni londyńskich, oraz otworzył przed niemi na oścież szranki dziennikarstwa. W przeciągu lat kilku, 800 kobiet znalazło stałe zajęcie w prasie londyńskiej. Niektóre z nich wybiły się na naczelne stanowiska; inne, poprzestając na roli skromnych pracownic, wniósł w szranki te, obok drobiazgowej pracowitości, powiew nowych idei, szerzony umiejętnie a wytrwale wśród szerokich warstw narodu.

Otwarty przed paru laty „klub dziennikarek angielskich“, świadczy najlepiej o wzroście wpływu pracowni tych, łączących siły swe, dzięki solidarnemu stowarzyszeniu, zarówno w pracy, jak w zogniskowaniu życia codziennego. Klub, urządzony wykwintnie, zapewnia współczesniczkom swym nietylko punkt zborny do zabaw i rozrywek, lecz: 1-o Za umiarkowaną opłatę, życie pełne wykwintu, dostatnie i wygodne. 2-o Dla osamotnionych staje się ogniskiem rodzinnym. 3-o. Wszystkim zapewnia pomoc możliwą w obowiązkach ich zawodu, a więc mieści: wielką czytelnię, bogatą bibliotekę i wszelkie środki pomocnicze, potrzebne przy pracy dziennikarskiej. U nas, gdzie w zawodzie tym, znanym z braku solidarności, pracuje kilka zaledwie kobiet, walcząc każda na swoją rękę z przeróżnemi trudnościami, stosunek taki wydaje się bajecznym. W Anglii inaczej. Proszę dla przekonania wzięść bibliografię pism tamtejszych, za którykolwiek miesiąc. Rzućmy przytem okiem nietylko już na groszowe piśmka, nie na gazety lub organa sprawie niewieściej poświęcone, jak: „Woman's Signal“ „Womans Herald“, „Young Lady“, „Woman at home“ i t. d., lecz na najważniejsze, uzone miesięczniki, które kierują samowładnie opinią publiczną w Anglii. Wśród najślawniejszych, bo w takiej np. „Contemporary Review“, w „Century“, w „Fortnightly Review“, w „Nineteenth Century“, w „Forum“, w „Westminster Review“, w „Review of Reviews“, niema zeszytu prawie, bez współudziału piór niewieścich, głośnych już dzisiaj, sławnych i wpływowych.

A jednak w Grudniu jeszcze r. z. miss Janina E. Hogarth wzywała kobiety w poważnej i cenionej „Fortnightly-Reviews“, by przestały napływać do szranek dziennikarskich. Cel dopięty, bo idea równouprawnienia naukowego i społecznego kobiet przeniknęła do głębin narodu. Sprawa więc pójdzie własnym torem, a zwycięży wartościową swą i zasługą. Dalsze poświęcenie się dla niej byłoby bezcelowym marnowaniem sił; za poświęcenie zaś uważa miss Janet Hogarth pracę kobiety w dziennikarstwie. Nigdzie, jak dowodzi, współzawodnictwo obu płci nie jest tak przykrem i zaostrzonym, nigdzie walka o byt tak gorzka i zaciekła. Dobry dziennikarz nie zna cichej nocy; z jednej zaś strony siedzenie nocne po biurach, przykrem jest dla kobiety; z drugiej, praca dzienna wyłącznie, zapewni jej tylko marne utrzymanie. A więc dosyć dziennikarstwa; niech pióro pozostanie tylko w ręku bardzo zdolnych, mnożąc cześć i uznanie dla wielkich talentów niewieścich w literaturze angielskiej.

Patrząc bezstronnie na sprawę, sądzimy, iż miss Hogarth ma rację. Zawód dziennikarski, wymagający wiecznego ruchu, gonięcia za nowością, ścierania się pojęć i zasad, wędrówek wreszcie i pracy pozadomowej, niestosownym jest dla kobiety. Delikatna, nerwowa jej orga-

nizacja, nie znosi tego wiecznego spotykania się z tłumami, tego wywalczenia sobie, jeżeli nie siłą pięści, to siłą łokci, miejsca na świecie. Dusza niewieścia w tych warunkach bądź to zatraci całą swą miękkość i wykwić, bądź też staje się głęboko nieszczęśliwą. Jedna to z cichych, lecz niemniej przejmujących tragedji...

Rzecz inna z pracą literacką. Ścisłe domowa, przykuwająca kobietę więcej jeszcze do ukochanego przez nią ogniska rodzinnego, cicha, czysta, odsuwająca umysł od zgiełku świata, zaliczoną być może do najwyższych rozkoszy życia. Samo obcowanie z wyborowymi umysłami świata, z arcydziełami myśli ich i uczuć, przynosi z sobą najsilniejszą nagrodę, bo uspokojenie i ukojenie ducha. Szczególniej praca twórcza, oraz oderwanie się w niej od wszystkiego co boli i smuci, od nędz i brudów egzystencji, od walk i szamotań życiowych, jest już zadatkem jakiegoś lepszego istnienia, tak jak talent prawdziwy bywa dowodem, zadatkim i cechą nieśmiertelności...

Dźwigniony własną wartością na wyżyny, wywiera on ztamtąd wpływ nieobliczony. Szlachetną i czystą natchnioną myślą, — bo o takim tylko mówimy, — staje się znów kapłaństwem, służbą publiczną, służbą obywatelską w szeregach obrońców ojczyzny i wiary, w zastępach bojowników, walczących za myśl jasną, za światło i prawdę, za dobro, piękno i szczęście ludzkości.

Wielki talent, tak rzadki niestety, to chryzmat, namaszczaający na wybrańców losu, to gwiazda geniuszu u czoła. Że zdołała ona niejednokrotnie piękną i delikatną skroń kobiety, o tem literatura angielska właśnie świadczy najwymowniej. Wszak od tych wybrańców losu utworzył się tu szlak jasny, którego promienie rozświetlają ciemną drogę nowym adeptkom, zapatrzonym w ów nimb sławy, a dążącym wyżej, coraz wyżej. *Sursum corda!* — oto dewiza owych zastępów.

A w górze, uwieńczone wawrzynem zasługi i sławy, błyszczą imiona: Karoliny Brontë, Jerzego Eliota, Maryi Evans, oraz całej najnowszej plejady, z Sarą Grand i panią Humphry Ward na czele, nie licząc nazwisk mniej genialnych, lecz ogólnie znanych i zasłużonych, jak: Ouida, miss Yonge, mrs Craven, miss Braddon, mrs Clifford, Emma Marshall, Marion Crawford itd. itd. Długi ten szereg nazwisk należałoby zakończyć najmłodszem, lecz niemniej rozgłoszonym imieniem Maryi Corelli.

Pomijając te, które piszą dla tłumów, a cieszą się mniej wybredną sławą, wyłączmy z listy powyższej postaci, opromienione rzeczywistym, potężnym talentem. Da namto poznać, w zarysie choćby, cele i dążenia kobiety angielskiej, ujawniane w działalności jej literackiej.

Największa ze sław niewieścich Wielkiej Brytanii George Eliot (Marya Evans), urodziła się w epoce (1820 r.), w której kwestya feminizmu nie istniała jeszcze. Ztąd, daleka od wszelkiego prozelityzmu, poświęca pomnikowe swe dzieła: „Adam Bede“ i „Młyn nad Flossen“ odmalowaniu życia średnich sfer angielskich. Upośledzona przez losy: ubóstwem \*), wtedy gdy dusza jej rwała się do wiedzy, wymagającej nakładów pieniężnych, niskim stanowiskiem społecznym, gdy pragnęła, by głos jej kraj cały usłyszał; brakiem urody, gdy była kobietą, George Eliot pociesza się w upokorzeniach tych jednym jedynym dążeniem: nadzieją wywalczenia szczęścia dla prześladowanych i maluczkich, przez uszlachetnienie ducha ich i umysłu.

W tym celu kształci się sama. Kosztem nocy bezsennych i lat całych pracy, wydiera wiedzę jej tajniki. Zdobywa i opanowuje: języki współczesne i starożytne, literatury klasyczne i romantyczne, teologię i filozofię. Tłómaczy „Życie Jezusa“, Straussa i „Etykę“ Spinozy; w epoce zaś zapału dla tych studyów uczonych, pisze

trochę abstrakcyjną powieść swą p. t. „Middlemarch“.

Otóż, zarówno własne zawody, jak wiedza głęboka, wyrobiły w niej wysokie poczucie humanitarno-altruistyczne, spotykane we wszystkich pismach Jerzego Eliota. Spokojny, łagodny jej realizm w malowaniu scen z życia niższych warstw narodu, nie złudzi dziś nikogo. Widzimy bowiem, iż zniżając się do tych istot pokornych duchem i umysłem, autorka czyni to nie z wrodzonej właściwości talentu, lecz wyłącznie tylko dla idei szlachetnej obudzenia w nim współczucia, dla zwrócenia uwagi na niedolę tych nieszczęśliwych. Poetka klas niższych, marzy tylko, by zdobyć dla nich zaranie lepszej doli.

Każde jej dzieło zresztą, kryje w szacie artystycznej, jakąś myśl podniosłą. *Adam Bede* jest drobiazgową fotografią życia ludu; *Romola* przedstawia nas wstrętem dla egoizmu; *Feliks Holt* przedstawia typ wzorowego demokraty, *Middlemarch* mówi o poświęceniu; *Daniel Deronda* podnosi ideę narodowości; *Silas Marner* powraca ze spotęgowaniem mistrzostwem do obrazów z życia ludu. Dowodząc w nim, iż „jedno poruszenie miłości i uczuć ludzkich, więcej przynosi szczęścia, niż wszystkie zabiegi samolubstwa i wszelkie porywy namiętności“, Jerzy Eliot streszcza w kilku tych słowach myśl przewodnią swego życia i swej kariery pisarskiej. Dziwne to zaiste połączenie genialne sztuki ze wszystkimi najszlachetniejszymi, choćby na pozór sprzecznymi zasadami. W „Scenach z życia klerykałnego“, rozwija wielką tolerancję religijną, sama jednak chyli się ku katolicyzmowi; w życiu społecznym pragnie wszystko ulepszyć, podnieść, lecz nie burzy. Umysł nawskroś zachowawczy, dąży do reform pracą usilną oraz podniesieniem moralnego poziomu narodu.

„Z dwóch następczących ci się obowiązków, podejmij zawsze trudniejszy,“ — oto jedna z jej zasad etycznych, z tych zasad duszy niepospolitej, pojmującej tylko moralność: sprawiedliwości, współczucia, miłości chrześcijańskiej i rozumu.

Taką była największa, najgenialniejsza z pisarek angielskich. Trudnem jest zaiste, streścić w kilkunastu wierszach charakterystykę, jednego z najsilniejszych talentów literackich naszego wieku. Potężnej tej umysłowości poświęcono już tomy całe, nie wyczerpawszy jej zasług, nie odtworzywszy dokładnie fizjonomii duchowej. W słowach też powyższych, pomijających zarówno tytuły wielu dzieł jej, jak i dane biograficzne, chodziło nam głównie o zaznaczenie spuścizny moralnej, jaką Jerzy Eliot, pozostawił w szrankach literackich kobiecie angielskiej.

Spuścizna to — jak widzimy — pełna ideału, zaparcia się siebie, pracy dla dobra innych i poświęcenia. Sztandar też zasługi i wpływu niewieściego, został przez nią podniesiony tak wysoko, iż George Eliot zaliczoną została do gwiazd najjaśniejszych na literackim firmamencie Anglii i Europy.

Talent zbyt oryginalny i samorodny, by wytworzyć szkołę, Jerzy Eliot musiała pozostać zjawiskiem odosobnionem. Naśladować jej niktby nie potrafił i nikt nie zdołał. Idee jej wszakże i tendencje stały się własnością całego szeregu późniejszych pisarek, które, chwytając w lot nowsze prądy, umiały odszukać w nich zawsze pierwiastek dobra, prawdy i piękna, by szerzeniem go podnieść moralną wartość Albionu.

Angielki wiedzą czego chcą i do czego dążą. Mniej hojnie uposażone od natury, poświęcają życie całe, jak popularna bardzo miss Yonge, na utrwalenie za pomocą powieści, poczucie narodowych i moralnych u licznych zastępów czytelników. Nie należy szukać u niej wysokiego artystyzmu. Ten cudny ptak złotopióry, rzadziej jeszcze rozwija skrzydła do lotu, pod chmurnym niebem Anglii, niż w innych krajach. Dowodem tego początek kariery Jerzego Eliota, dowodem druga wielka autorka, Karolina Brontë, której wspaniałe arcydzieło *Jane Eyre*, odrzuc-

\*) Obacz trzypiętomowe studyum Emila Montégut p. t. „Ecrivains modernes de l'Angleterre“, Paris, Hachette et Comp. 1885—1892.



ne zostało swego czasu, przez wszystkie pisma i wszystkich wydawców londyńskich.

Zanim obejmujemy okiem najnowsze prądy, ujawnione w utworach dwóch ostatnich bożyszcz Anglii, Sary Grand i m-rs Humphry Ward, rzućmy jeszcze przelotne spojrzenie na zasługi Karoliny Brontë, poprzedniczki ich i bezpośredniej mistrzyni.

Anatol Krzyżanowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PAMIĘTNIKI

### Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

#### PRZEDMOWA.

Stary, wyżółkły rękopism, znajdujący się w mojem posiadaniu, jako pamiątka rodzinna, zawierający wspomnienia mej babki, Adaminy Moszczeńskiej, nie był przeznaczony do druku — i dziś, gdy go na światło dzienne wydobywam, i szerszej publiczności udzielam, nie sądzę bynajmniej, aby on w piśmiennictwie naszym mając jakiegoś wybitne miejsce. Nie jest to utwór literacki w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Czytając stronicę ręką mej babki kreślone, miałam zawsze wrażenie, zupełnie zresztą odpowiadające rzeczywistości, że autorka w swej pracy szukała rozrywki dla siebie, że pisanie było jej ulubionem zajęciem, którem zapełniała chwile wolne i często samotne. Żywa pamięć i umysł bystry pochwyliły i przechowały wiernie obrazy wypadków i postaci spotykanych w różnych epokach życia, a że dusza jej chętnie przebywała w świecie wspomnień, że z doświadczeń życiowych niejedną sama wyniosła naukę, że one jej horyzont umysłowy rozszerzały i rozjaśniały, — zapragnęła więc utrwalić na papierze zebrane niegdyś wrażenia i przez zestawienie ich z chwilą teraźniejszą skonstatować zmiany, jakie w społeczeństwie zaszły.

Był to jedyny — wyraźnie przez nią zresztą zaznaczony cel pracy niniejszej i sądzę, że został osiągnięty.

Pamiętnik ten jest przecież niezmiernie ciekawym dokumentem ludzkim, dokumentem z rodzaju tych, jakich nigdy zanadto, nigdy dosyć nawet zebrać nie można.

Obok pamiętników historycznych, rzucających światło na wypadki i osobistości, posiadające wielkie dziejowe znaczenie, ogromną wartość mają także właśnie pamiętniki prywatne, odkrywające zupełnie nieznaną, przemilczaną w historii stronę życia ubiegłych pokoleń, ich stosunki rodzinne i towarzyskie, zwyczaje i moody, tryb domowy, zabawy i kłopoty, miłości, niechęci i swary, a nawet sposoby meblowania mieszkań i przyrządzania posiłków. Człowiek nawet najdłużej żyjący i najbystrzejszym obdarzony zmysłem obserwacyjnym, dość niedokładnie zdaje sobie sprawę ze zmian, jakie w życiu jego społeczeństwa zachodzą, z tych zmian ciągłych, drobnych, niewidocznych, które jednak tak gruntownie przetrwarzają i ustrój społeczny i charakter narodu. Nie zdaje zaś sobie sprawy dla tego, że one nietylko w koło niego, lecz i w nim się dokonywają, że życie nawet najoporniejszych konserwatystów jest ciąglem przystosowywaniem się do zewnętrznych, coraz to innych okoliczności. Kiedy zgarbiony starzec wspomina z żalem ubiegłe chwile przeszłości i ze smutną teraźniejszością je zestawia, to ani jego otoczenie, ani on sam nawet wiedzieć nie może dokładnie, czy raj, za którym się westchnienia, naprawę był tak różnym, tak wiele lepszym, niż szara rzeczywistość obecna, czy tylko młodość jego oblewała go blaskiem, którego przygasające żrenice staruszka już dojrzeć nie mogą.

Gdy jednak wpadnie nam w rękę taki dokument ludzki z czasów ubiegłych, spisany przez osobę dziś nieżyjącą, a więc nie posiadającą naszego sposobu myślenia i widzenia rzeczy, fotografia błyskawiczna scen dawno zapomnianych, widzimy dopiero ogromną różnicę między światem dzisiejszym, a tym, który dawną już w proch się rozsypał. Nic z niego już nie pozostało, ludzie tam inni, myślą i mówią, czują i żyją inaczej niż my i ci, których widzimy. We wszystkich drobiazgach ich codziennego życia odbija się tak dokładnie charakter minionej epoki, że nie dotykając nawet żadnego dziejowego wypadku, tworzą ich wizerunki obraz historyczny ogromnie żywo ubarwiony kolorytem danej chwili. Dla tego to właśnie pamiętniki tego rodzaju stanowią niezmiernie ciekawy komentarz do historii kraju. Lepiej niewątpliwie zrozumielibyśmy ludzi i wypadki, o których podręczniki szkolne tak sumaryczne podają nam wiadomości, gdybyśmy zdołali je umieścić na tle odpowiednim, złożonym z tych tysiącznych a tak wiele znaczących drobiazgów codziennego życia narodu. Nawet najwybitniejsi ludzie zostają pod wpływem otoczenia, nawet najgenialniejsze umysły czerpią materiał duchowego rozwoju z drobnostek, lecz trwale, choć często bezwiednie przyswajanych wrażeń zewnętrznych, dostarczanych przez środowisko, wśród którego żyją. Czytając w książkach o działalności tego lub owego politycznego męża lub stronnictwa, dziwimy się czasem naiwnie, dla czego tak a nie inaczej postąpiono, dla czego nie chwycano się środków dla nas bardziej zrozumiałych, dlaczego przemawiano nie w ten sposób, jak my byśmy w danym razie przemówili. Nie zdajemy sobie dobrze sprawy z tego, że to byli zupełnie inni, inaczej wychowani, inaczej żyjący ludzie. Człowiek, który stawiał świątynie przyjaźni i tańczył menueta, nie mógł tak czuć i myśleć jak ten, który czytał Zolę i jeździł na bicyklu.

Literatura epok minionych daje nam trochę jednostronny obraz dawnego społeczeństwa, maluje nam je bowiem takim, jak je widzieli najwybitniejsi, talentem i wysokim wykształceniem obdarzeni ludzie. Tych ludzi, stanowiących w danej chwili czoło narodu, rozumiemy trochę lepiej, niż cały tłum przeciętnych indywiduów, stanowiących im współczesną publiczność. Dlatego też jeśli nam przyjdzie zestawić taki bezpretensjonalny pamiętnikowy dokument z literackimi utworami z tegoż czasu, zdaje nam się, że te ostatnie są nam bliższe choćby o jedno pokolenie. Płynie to ztąd naturalnie, że wszystkie warstwy narodu nie kroczą w jednym szeregu w swym cywilizacyjnym pochodzie i że w każdej chwili możemy sobie poniekąd odtworzyć nastrój pokoleń, które nas bezpośrednio poprzedziły, zstępując od najinteligentniejszych i najbardziej ucywilizowanych warstw narodu, do tych, których ostatnie promienie współczesnej cywilizacji nie dotknęły.

Naturalnie, charakter takiego pamiętnika zależy bardzo od indywidualności osoby, która go pisze. Dla tego też, nie myśląc bynajmniej uprzedzać samodzielnego sądu czytelników, muszę jednak podać na wstępie kilka uwag ogólnych, krótką charakterystykę i życiorys p. Moszczeńskiej.

Jeżeli nie przyznałam jej pamiętnikowi znaczenia utworu literackiego i uznałam go raczej jako dokument ludzki, nie chciałam przez to bynajmniej twierdzić, ażeby autorka zabierała się do swej pracy bez poprzedniego umysłowego przygotowania, aby tak sobie naiwnie i po prostu notowała swoje uwagi, jak to w swoim czasie np. czynił Jan Chryzostom Pasek, lub wiele później Kiliński. Pani Adamina była dzieckiem cywilizacji bardzo wyrafinowanej, była osobą odcytaną, wykształconą, myślącą, była wreszcie damą, wychowaną wśród wytwornego towarzystwa, i dlatego w jej stylu znać staranny dobór słów i zaokrąglenie zdań, w jej poglądach pewną subtelnosć i wyższy poziom umysłowy. Odejmuje to jej pracy wdziałek prostoty i świeżości, nadaje jej pewne zacięcie literackie, nie pozbawia jednak bynajmniej interesu. Widząc, że

przemawia do nas jednostka rozumna, o szerszym horyzoncie umysłowym, nabieramy zaufania do niej i chętnie słuchamy wypowiadanych przez nią uwag. Wielką zaletą tego pamiętnika jest jego ścisła bezstronność i obiektywność. Pani Moszczeńska nie jest ani bezwzględna wielbicelką dawnych czasów, ani też stronnicozasłepioną nowatorką. Nie podlega zwykłej skłonności osób starszych do przedstawiania raju swej młodości w jak najświetniejszych barwach. Obdarzona sporą dozą zmysłu krytycznego i trzeźwości, płynącej zarówno ze szlachetnego serca, jak i spokojnego temperamentu, nie krzywdzi i nie idealizuje nikogo. Wprowadzając na scenę różne odmiany gatunku ludzkiego, umie nam wskazać ich zajmujące i charakterystyczne cechy, nie dzieląc ich na kategorie, nie wypisując im świadectw w określeniach: dobry, zły, niedostateczny, zadawalniający. Szczere współczucie dla cierpień opisywanych osobistości — nigdy jednak nie przeszkadza jej zaznaczyć ich słabość i słabostek lub śmiesznych stron. Kreślone przez nią wizerunki, to pełne życia i wyrazu portrety — nie pochlebione bynajmniej, ale też nie wpadające nigdzie w karykaturę. Najmniej pisze o sobie. Za ledwie kilka urywków odnosi się wprost do jej osoby i wypadków jej życia. W liryzm nie wpada prawie wcale, jest zwykle tylko ciekawą spektatorką, a nie przedstawia siebie w roli tytułowej. Analizowanie własnych stanów duszy, nie będące zresztą taką nowością, jakby to niejeden czytelnik „Bez dogmatu“ mógł przypuszczać, jest jej obcem. Choroba sentymentalizmu, grasująca tak powszechnie w czasach jej młodości, na nią wpływu nie wywarła, bo też nie było bardziej obcego jej naturze, nad wszelkie odmiany melancholii i „weltschmerzu.“ Od dzieciństwa aż do starości cechował ją wesoły humor i niezmacona pogoda umysłu, jakkolwiek los nie faworyzował jej bynajmniej, a droga jej życia gęsiutko cierniami wysłana była.

Urodziła się w r. 1790. Matka odumarała ją wcześniej, a wychowaniem jej i jej brata Juliana zajmowała się ciotka. Ojciec jej, p. Adam Bielski był człowiekiem bardzo rozumnym, wykształconym, zamiłowanym w książkach i w życiu domowym. Był to niezmiernie sympatyczny typ obywatela światłego, postępowego, interesującego się żywo sprawami publicznymi. Została po nim broszurka, wydana w Kaliszu 1809 r., zawierająca projekt reform ekonomicznych dążących do podźwignięcia z upadku obywateli Księstwa Warszawskiego. Jest tam projekt stworzenia Towarzystwa kredytowego, asekuracji od wypadków, banku parcelacyjnego; jest także wyjaśnienie przyczyn zadłużenia własności ziemskiej i rzut oka na położenie obywateli współczesnych. Pomimo jednak, że tak go obchodziły sprawy kraju, nie dał się nakłonić do zajęcia stanowiska w rządzie ówczesnym, choć nie brakło mu zachęty ze strony Józefa Wybickiego, który był jego serdecznym przyjacielem. Był on zanadto lubiącym wygody, zanadto wielkim panem, rozmiłowanym w swej swobodzie i niezależności, by ze względu na karierę porzucać swoje wiejskie zacisze i wprzeżyć się w jarzmo obowiązków, z odpowiedzialnością połączonych. Naturalnie, świadczyło to o pewnym lenistwie, okupionem tem tylko, że od prac obywatelskich w swoim powiecie się nie usuwał.

W kilka lat po śmierci pierwszej żony — wdowy Julii z Karskich Smoleńskiej, ożenił się po raz drugi również z wdową i to po dwóch mężach p. Marcyanną z Mycielskich primo voto Szoldrską, sędzią Wierzchlejską. Pani sędzią, wychodząc za Bielskiego, miała już czworo dzieci, a wśród tych jedną córkę zamężną — była jednak jeszcze piękną i zajmującą, a ponieważ posiadała ogromny majątek, nie było więc obawy, ażeby pasierbowie dzieci pokrzywdzili. Nie była jednak zbyt miłą w domowym pożyciu, a jej gwałtowny i despotyczny charakter dawał się nieraz we znaki zarówno rodzonom, jak i przybranym dzieciom.

Większa część pamiętników p. Moszczeńskiej odnosi się właśnie do tej epoki dzieciństwa, przypadającej na koniec XVIII-go wieku. Opowiadaniu swemu w tej części nadała formę powie-



ściową, jednakże i w charakterystyce osób i w przytaczanych wypadkach trzymała się ściśle prawdy, wspomnienia własne uzupełniając tylko wiadomościami, czerpanymi z rozmów swego ojca. W miejsce nazwisk rzeczywistych, podsta- wiała jednak fikcyjne z łatwo zrozumiałych po- budek.

Dom pp. Bielskich utrzymany był na wielko- pańskiej stopie, której zresztą ich środki zupeł- nie odpowiadały. Posiadali oni spore majątki na Kujawach, w Kaliskiem i w dzisiejszym Bydgo- skim obwodzie. Dzieciom swym dawali eduka- cję staranną, odpowiadającą ówczesnym zwy- czajom. Panny kształciły się w talentach i języ- kach, mówiły po francuzku, po niemiecku i po włosku, grały, śpiewały, malowały, tańczyły „fandango“ i wykonywały kosztowne, artysty- czne robotki. Mała Adamina dość młodo oddaną została do Berlina na pensję pani Boquet; ró- wnocześnie jej brat Julian w temże mieście swą edukację odbywał. Zanim jednak ukończyła nauki, śmierć przedwczesna zabrała jej tego naj- bliższego w dzieciństwie towarzysza. Pobyt na pensyi dość mile zresztą zaznaczył się w jej pa- mięci. Przełożona upodobała sobie zdolną i sym- patyczną dziewczynkę, jej żywy i pojętny umysł zajął ją do tego stopnia, że obrała ją sobie za lektorkę i osobiście dużo nad jej rozwojem pra- cowała.

Panna Bielska powróciła do domu z opinią wysoko edukowanej panny. Nie była piękną, ale portret jej w owych czasach malowany, ukazuje nam ją powabną i sympatyczną. Była to osóbką małego wzrostu, lecz bardzo zgrabna i szczupła w talii, brunetka „une brune piquante“, jak ją nazwała jedna z ówczesnych przyjaciółek rodziców, o sprytnych i wesołych oczach i łago- dnym uśmiechu. Na portrecie, o którym wspo- mniałam, ubrana jest w suknię białą, wyciętą z króciutkim szańczkiem (jeśli to stanikiem na- zwać można), wedle mody z czasów pierwszego cesarstwa; z ramion spada szal ciemno-zielony. Włosy obcięte, mocno sfryzowane i spiętrzone w górę, upięte sznurem pereł i takież naszyjnik perłowy na szyi.

Tak wyglądała zapewne na balach w Kaliszu, gdzie zwykle z rodzicami karnawał spędzała. Była to burzliwa epoka wojen napoleońskich, burzliwa ale wesoła zarazem, bo śmiertelne boje nie odbierały ludziom ochoty do zabaw; grzmot armat nie przerywał muzyki balowej, a widmo śmierci nie mroziło skłonności do flirtu, nadawa- ło mu tylko pewien interesujący, sentymentalny odcień. Ludzie żyli wtedy jakoś bujniej i star- czyło im nerwów na wszystko, choć spazmy by- ły w modzie. Panny otoczone były rojami wiel- bicielei, a głównem zadaniem ich życia było po- dobać się, nie przebierając miary w kokieteryi i wyjść za mąż tak, by zadowolnić i wymagania światowe i własne serce. Ta sztuka nie zawsze się jednak udawała. W 1812 r. panna Bielska wyszła za mąż za p. Floryana Moszczeńskiego. Było to z jej strony małżeństwo z miłości, gdyż naręczony jej, choć z tak zwanej dobrej szla- checkiej pochodził rodziny, nie posiadał żadnego osobistego majątku. Był jednak bardzo piękny, nosił mundur napoleoński i miał szalone powo- dzenie ukobiet. Pożycie małżeńskie szczęśliwem nie było. Małżonkowie różnili się wykształce- niem, wychowaniem i przyzwyczajeniami, a wyższość była stanowczo po stronie żony, co niechęć męża potęgowało uczuciem podrażnio- nej ambicyi. Pan Floryan dumny, despotyczny, niezgodny, fantastyk, prawdziwy tyran domo- wy, strachem przejmował domowników, służbę, żonę i dzieci. O całej epoce życia, spędzonej pod dachem męża, w pamiętniku niema ani wzmian- ki. Pani Adamina nie lubowała się w rozpamię- tywaniu cierpień doznanych, nie rozczulała się nad sobą, wołała zapomnieć. Gdy dzieci dorosły, a postępowanie ojca stało się zaporą do ich szczęścia, mianowicie do ustalenia losu córek, rozłączyła się z mężem. Majątek jednak został w jego ręku. Pan Floryan, choć pracowity i oszczędny gospodarz, nie przysparzał fortuny, bo jedna jego fantazyja więcej go kosztowała, niż całe lata oszczędności zgromadzić mogły. Np. pokłóciwszy się z sąsiadami, sprzedał za bezcen

dobra, mające ogromną wartość, byle się wy- nieść z okolicy niemiełej.

Tymczasem żona, której zawdzięczał wszyst- ko co posiadał, wychowana w zbytkach, przy- wyczajona do dostatku, rozłączywszy się z nim, pędziła życie w ubóstwie. Nie skarżyła się je- dnak bynajmniej, owszem czuła się uszczęśli- wioną odzyskaną niezależnością i spokojem, a że otaczał ją powszechny szacunek, że jej towarzy- stwo było cenionem i poszukiwanem, więc opu- szczania i samotności nie zaznała. Jej dowcip, żywość, jej miły, jednostajny humor i wysokie wykształcenie, czyniły ją pożądaną w każdym towarzystwie; garnęli się więc do niej starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, inteligencya i ludzie prości. Miała przytem rzadki a cenny dar nada- wania nawet najskromniejszemu otoczeniu pe- wnego estetycznego piętna. Mieszkała czas ja- kiś w Ślesinie, potem w Inowrocławiu, zadawała- niąc się musiała ciasniutkim i ubogim kącikiem. Ale jej dobry smak i poczucie artystyczne, zdo- łały upiększyć nawet bielone ściany, a skromna czarna wełniana suknia, rzadko odnawiana, ro- biła na niej wrażenie eleganckiej toalety. Dzieci darzyły ją szczerem uwielbieniem. Z licznej nie- gdyś gromadki dorosło tylko czworo. Imiona ich świadczą o literackich upodobaniach matki; Emil, Alfons, Walerya, Malwina. Te imiona star- cza prawie za datę urodzenia.

Właśnie w tej epoce, gdy rozłączyła się z mę- żem, gdy odzyskała względny spokój, z zamiło- waniem oddała się pracy literackiej. Było to jej ulubione zajęcie. Pozostawiła sporo utworów, przeważnie jednak niewykończonych. O ile wiem, w druku ukazała się tylko jedna niedługa praca o wychowaniu kobiet. Niestety, artykuł ten pomieszczony w trzech numerach „Gazety Polskiej“ (jeśli mnie pamięć nie myli) zaginął i dziś już, choć go niegdyś czytałam, nie umia- łąbym go streścić. Po za tem, pisała dużo wierszy, nie mających żadnej literackiej wartości, oraz pamiętniki. Pierwszej ich części, jak wspo- mniałam, nadała tytuł „Powieści babuni“ i ujęła je w formę beletrystyczną. Resztę stanowią lu- źne opowiadania wypadków i zdarzeń z różnych epok, czasem tylko fragmenty, pozbawione po- czątku i zakończenia. I w tych jednak urwkach mieści się dużo ciekawych i charakterystycz- nych szczegółów, które z zainteresowaniem i z pożytkiem przeczytać można. Ponieważ prze- ważnie mieszkała w Wielkopolsce, miała więc sposobność obserwować typy pierwszych przy- byszów niemieckich, którzy się na naszej roz- gościeli ziemi i scharakteryzowała ich stosunek do naszej butnej szlachty — tak różny, tak nie- zmiernie różny od dzisiejszego. Polski i niemie- cki żywioł staowały dwa odrębne światy, z któ- rych jeden rozrastał się i potężniał kosztem dru- giego. Wesoła, rozbawiona, hojna i lekkomyśl- na drużyna szlachecka nie przypuszczała, aby w tych pokornych, nieokrzesanych przybyszach przez nią z góry traktowanych, przyjmowanych tylko w przedpokoju, kryli się przyszli panowie.

Ostatnie lata życia spędziła pod dachem młod- szego, wówczas owdowiałego syna. Mąż wy- przedził ją do grobu o lat kilka, a niechęci swej do żony dał wyraz nawet w swych ostatnich chwilach, zastrzegając się, aby ich nie chowano w jednym grobie. Zresztą i skłonność do dzi- wactw nie opuszczała go w przedśmiertnych rozporządzeniach, polecił np., aby mu wykopano grób przy rozstajnych drogach. Dzieci uszano- wały jego wolę o tyle, że pochowały go w naro- żniku cmentarza we wsi Rzeczyce, w miejscu, gdzie się dwie drogi krzyżują.

Pani Adamina miała starość pogodną i spo- kojną. Wprawdzie nadmierna otyłość i astma dręczyły ją w ostatnich latach życia, jednakże jej niezrównany spokój umysłu, wesołość i pra- wdziwa młodość ducha nie opuszczały jej ani na chwilę. Nigdy nie przestawała się interesować ani wypadkami krajowemi, ani losem swych blizkich i kochanych, tych zaś pominawszy nawet, dzieci i wnuków miała bardzo liczną gro- madkę, bo jej zacne serce lgnęło do ludzi i lu- dzie garnęli się do niej; a kto raz zjednął sobie jej przyjaźń i sympatyę, ten już nigdy obcy jej być nie mógł.

Umarła w Październiku r. 1858. Zwłoki jej leżą w grobie rodzinnym Moszczeńskich w Rze- czycy na Kujawach.

Kreśląc sylwetkę tej tak blizkiej dla mnie, a jednak tylko z tradycyi znanej postaci, czuję, że wizerunek jest bardzo niedokładny; nie po- zwoliłam sobie jednak na uzupełnianie go ry- sami czerpanymi we własnej wyobraźni. Nie wyliczałam nieznanymi mi zasług, ani przypu- szczalnych cnót, trzymałam się ściśle tych szczupłych danych, jakie zebrać mogłam. Cześć dla umarłych pojmuję zresztą inaczej, niż ją określa formuła: „De mortuis aut nihil aut be- ne.“ Sądzę, że światowy konwenans i takt to- warzyski, którym się krępiemy w obec ży- wych, w odniesieniu do ludzi nieżyjących, za- stosowanie ostatnie może mieć tylko w pośmier- tym nekrologu, pisanym zresztą zwykle dla po- zostającej rodziny i przyjaciół. Po zatem, im i so- bie winniśmy tylko wierne zachowanie w pamię- ci tej spuścizny duchowej, jaką nam istotnie przekazali. Sąd nad nimi nie do nas należy, nie możemy ich ani nagradzać, ani krzywdzić, ani skarg przeciw nim wytaczać. Gdybyśmy jednak z zasady przemilczeli ich wady i winy, przyczy- nialibyśmy się do fałszowania tradycyi i krzewie- nia zupełnie błędnych pojęć o stosunkach czasów terażniejszych do przeszłości. Dla tego np. nie wahałam się zaznaczyć niepochlebnych rysów w charakterze mego dziadka. Porównywanie dawnych czasów z obecnymi nie powinno mieć na celu wywyższanie jednych kosztem drugich, lecz wykazanie, jaką drogą doszliśmy do tego, czem jesteśmy. Każdy z dziś żyjących jest ponie- kąd dalszym ciągiem tych, którzy go poprze- dzili, poznając życie ubiegłych pokoleń, poznaje część owej przeszłości, a ta posłużyć mu powin- na do zdobycia mądrości przez mędrców gre- ckich zalecanej — znajomości samego siebie.

J. Moszczeńska.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Sezon letni niezadługo się kończy. Że był oży- wiony i dostarczył dużo wrażeń, zawdzięczamy to teatrowi lwowskiemu, który wystawił kilka cennych oper, np. „Dalibora“ Smetany, „Dzia- dy“ Moniuszki i t. d., zaprezentował znakomite- go tenora w osobie p. Floryańskiego i wykonał szereg operetek, hucznie oklaskiwanych przez tłumy słuchaczy, na co w zupełności zasłużyły.

Pewnego wieczoru usłyszeliśmy dwa dzieła, związane z historią muzyki polskiej. Było to połączenie Kurpińskiego z Moniuszką, którym jednoczesny pobyt na scenie wcale nie szkodził, jakkolwiek utwór „Bojomir i Wanda“ nie ma wcale pretensyi do konkurowania z takim arcy- dziełem, jak „Dziady.“ Kurpiński wszakże roz- poczyna dzieje opery naszej, która dopiero w Moniuszce wystrzeliła cudnej piękności kwia- tem. Kurpiński i Moniuszko, jak to słusznie za- uważył Bogusławski, dopełniają wzajemnie fi- zyognomii polskiej w tym zakresie twórczości, uosabiając zarazem dwa zasadnicze rysy cha- rakteru narodowego: Kurpiński jest uśmiechem muzyki; Moniuszko jej melancholią, zadumą, tę- sknotą, rzewnością; w Wielkopolaninie gra tem- peramentowy humor, dusza Litwina jest kryni- cą poezyi, — jeden z drugim tworzą kompletny typ polski z życia, w sztuce odzwierciedlony, w którym pod łatwą, pozornie niefrasobliwą we- sołością, kryją się głębokie uczucia. Słuchaliśmy „Bojomira i Wandy“ z zaciekawieniem i wzru- szeniem. Ta sielankowo-romantyczna historia dwojga kochanków w „Zamku na Czorsztynie“, choć jest naiwna i nieprawdopodobna, przema- wia do nas tak, że radzi jej niepomalu jesteśmy. Libretto „Zamku na Czorsztynie“ wyszło z pod pióra J. hr. Krasińskiego; treść rozgrywa



się po odsieczy wiedeńskiej, z której powraca rycerz Bojomir z Nikitą. Ciemna noc i nawałnica wykoleiły ich z drogi; w górach pan i przewodnik natrafiają na zamek, którego podwoje stoją otworem, bo je służąca Lucyja zapomniała zamknąć. Wchodzą więc bez przeszkody do komnat wewnętrznych, i tu Bojomir postanawia przenocować. Naprawdę góral, który się strachów boi, sprzeciwia się temu, Bojomir zostaje i kładzie się spać na tapczanie.

W zamku mieszka wielki pan, którego córka Wanda cierpi na melancholię. Niedawno kochała, lecz dumny ojciec za szlachcica nie pozwolił wyjść za nią; teraz podczas nocy, ze świecą w ręku, chodzi nieszcześnie po zamku i śpiewa. W tej wędrowce po pustych salach wkracza do komnaty, gdzie się Bojomir znajduje. To on był tym kochankiem—gdy go więc Wanda ujrzała, wnet odzyskała zmysły, a ojciec szczęśliwy, że córka zdrowa, już się na związek jej z Bojomirem zgadza i błogosławieństwem swego udziela.

Ta treść posłużyła Kurpińskiemu do rozwinięcia różnych pomysłów muzycznych. Cechuje je przede wszystkim obfitość melodyi, płynącej swobodnie i uwydatnionej w opracowaniu często nader oryginalnym. Twórca najwidoczniej nie żałuje tej melodyi, szczerze ją rozsypując po swem dziele. Z pojedynczych numerów zaznaczyć wypada: tercet w akcie pierwszym, poloneza, arye Bojomira i Wandy; dużo tu jest dowcipu, werwy i zacięcia, a postać Nikity bardzo jest traktowana charakterystycznie. Instrumentacja nie celuje efektywnością; ale nie zapominajmy o tem, że „Bojomir i Wanda“ liczą 80 lat życia scenicznego, a wtedy towarzyszenie orkiestry nie odznaczało się tem bogactwem, co dzisiaj.

Wykonanie tej opery, jak zresztą zawsze w teatrze lwowskim, wypadło ku powszechnemu zadowoleniu. Pierwszeństwo oddać należy p. Bohusównie, wybornej interpretatorce partyi Wandy. Dobrze również wywiązała się z zadania: pp. Malawski, Myszkowski i Paszkowski.

Wznawione „Dziady“ Moniuszki wywarły silne wrażenie. Ten poemat wspaniałą, uzupełnioną muzyką niemniej wspaniałą, działa na słuchacza, jak obraz treści religijnej, opartej na motywie ludowym. I znowu personel wokalny teatru lwowskiego stanął na wysokości zadania: chóry śpiewały bez zarzutu, soliści, a zwłaszcza p. Szymański—świetnie. Całość była bez zarzutu.

Z utworów lekkich olbrzymie powodzenie zjednała sobie dawna operetka Suppego p. t. „Szatani na ziemi.“ Nie grano jej od lat dwudziestu, a i przedtem wykonanie musiało być słabe, gdyż operetkę śpiewano w którymś z ogródków. By ten utwór pociągnął i podobał się, potrzeba doskonałej wystawy, dużych chórów i wyrobionych solistów. Suppego słusznie nazywają niemieckim Offenbachem. Treść „Szatanów na ziemi“ ma wiele dowcipu i ukrytej złośliwej ironii. Dwa światy stykają się tu z sobą: piekło i ziemia. W piekle szatani buntują się przeciwko swej władzy, bo ich ta władza wyzyskuje. Trzeba to niezadowolnienie uspokoić, w tym też celu Lucyfer obiecuje szatanom wiele przyjemności i wysyła ich na ziemię, aby sobie tam pohulali i nowych do piekła sprowadzili mieszkańców. Pobyt szatanów na ziemi zaczyna się od pensjonatu, gdzie widzą podatny dla siebie grunt, a i w koszarach źle im się nie dzieje. Po ukończeniu swej pracy, szatani z łupem powracają do piekła.

Muzyka jest bardzo ładna. Jest w niej niemało melodyjnych i zbiorowych ustępów, a solowe partie zawierają mnóstwo zalet. Muzyka bardzo umiejętnie zastosowana jest do treści: w piekle rozbrzmiewa ona fantastyczniej, niż na ziemi—obie drgają wielkim życiem. Ta „muzyka piekielna“ ma swój odrębny charakter, a finał aktu pierwszego należy do wyjątkowo pięknych numerów. Akt drugi odznacza się płynną melodią—począwszy od poważnej muzyki klasztornej, a kończąc na przesłannym trio i duecie miłym, z towarzyszeniem motywu, odzywającego się poza sceną. I tak do ostatniego taktu, „Szatani na ziemi“ w wysokim stopniu intere-

suja—nie też dziwnego, iż operetka kilkanaście razy ściągnęła do teatru nieprzejrzane zastępy publiczności.

Wystawa „Szatanów“ świadczy o zasobności teatru lwowskiego, artystycznym smaku dyrektora Hellera i umiejętnym kierownictwie p. Jareckiego. W wykonaniu celują: p. Kliszewska, śpiewająca kuplety o zakazanych owocach z prawdziwie francuzkiem zacięciem, p. Bohusówna, czarowna Amanda, p. Lewicki—tenor, którego będziemy słyszeli w naszej operze—wreszcie pp. Bronikowska i Myszkowski.

W tym samym prawie czasie teatr Nowy wystawił operetkę Messagera, p. t. „Naręczona na loteryi.“ Jestto utwór mało oryginalny, lecz niewątpliwie efektowny i ładny. Dużo w niej motywów, wziętych z Delibes'a np., dużo i zkadłunów, ale wszystko połączone jest razem zrzęcznie i podane słuchaczowi w dobrem opracowaniu. Można by operetkę zarzucić przeladowanie melodyjami—zwłaszcza para kochanków śpiewa, śpiewa bez końca, ten przecież zarzut nie zmniejsza wartości samej muzyki.

Huczne a zasłużone oklaski zbierali pp. Kawecka i Redo, śpiewający wszystkie numery z artystycznym wykończeniem.

Orkiestra holenderska, koncertująca w Dolinie Szwajcarskiej pod dyrekcją p. Quasta miała względne powodzenie; najwięcej publiczności ściągały koncerty symfoniczne, zaznaczyć jednak należy, iż interpretacja nie porywała, choć orkiestra grała starannie.

W ostatniej chwili dowiadujemy się o rozstrzygnięciu konkursu Paderewskiego w Lipsku. Wiadomo, iż znakomity pianista przeznaczył kilka nagród na kompozycje dla artystów polskich. Rozstrzygnięcie konkursu powierzył p. Nikischowi, słynnemu dyrektorowi „Gewandhaus'u“ w Lipsku.

Nagrodę rub. 1,000 za symfonię otrzymał p. Zygmunt Stojowski z Paryża, uczeń Żeleńskiego; za koncert fortepianowy rub. 250 otrzymał Henryk Melcer, zwycięzca konkursu w Berlinie; za koncert skrzypcowy rub. 250 p. Emil Młynarski, nowomianowany dyrektor opery warszawskiej; za kwartet smyczkowy rub. 250—p. Wojciech Gawroński, skrzypek; wreszcie za sonatę na skrzypce i fortepian rub. 250 otrzymał p. Grzegorz Fidelberg z Warszawy.

Plon, jak widzimy, ładny, zobaczymy w przyszłości, ile w nagrodzonych utworach znajduje się artyzmu i piękna.

A. Dobrowolski

## BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańska.

(Dalszy ciąg)

Nazajutrz, podczas gdy chorąży zajęty był bawieniem kasztelanowej, Magdzia i Ewa wymknęły się przed wieczorem do sadu, aby zobaczyć się z panem Janem. Skoro go zdaleka ujrzały, Ewa wzruszona mocno, ścisnęła Magdzię za rękę i oparła się na jej ramieniu, bo nogi drżały pod nią. On również niemniej był wzruszony, ale panował nad sobą i skłonił się przed niemi poważnie i w milczeniu. Ewa podniosła wreszcie na niego wzrok spuszczonej dotąd i wyczytała w jego oczach jakiś dumny wyrzut. Poddała mu rękę i dłoń ich, spotkawszy się z sobą, zdrząły, a jednak w rozmowie panował wciąż dziwny i nieprzewidywany przymus. Jemu duma

zamykała usta, ona miała tak wiele do powiedzenia, że nie wiedziała od czego zacząć. Magdzia, aby ich nie kępować, usunęła się nieco na ubocze, udając, że jest zajęta zbieraniem jesiennych kwiatków, rosnących w trawie tu i owdzie.

— Waćpan tak długo o sobie wieści nie dawałeś, że my obie z Magdzą nie wiedziałyśmy, co o tem myśleć,—rzekła Ewa cichym głosem.

— Mówiłem już Magdzi, jak jest trudno przesłać o sobie wieść jakąś w czasie wojny,—odparł krótko i poważnie—i dlatego waćpanna zechcesz mi wybaczyć ową mimowolną przewinę...

— Gdybym była wiedziała, że waćpan... jesteś w takim niebezpieczeństwie... inaczejbym sądziła o owem milczeniu—i bardzo żałuję, że tego nie odgadła... nie przeczuła,—mówiła Ewa, nie patrząc na niego i starając się opanować wzruszenie, które głos jej tamowało...

Spotkawszy się z nim oko w oko, uczuła się bardziej winną niż dotąd i oskarżała się w duchu o nieczymność, o tchórzostwo, ale nie mogła przewyciężyć kępującej ją nieśmiałości.

— Waćpanna nie powinnaś sobie wyrzucać tego; trudno jest przeczuć i odgadnąć wszystko,—odrzekł pan Jan, usiłując zachować ton spokojny i obojętny.—Zresztą niebezpieczeństwo to już minęło,—teraz jestem już zdrow i silny na tyle, że mam nadzieję, iż niedługo będę mógł wyruszyć wraz z innymi ku granicom, pod chorągwie hetmana wielkiego koronnego....

Ewa słuchała go blada, lecz nie mogła się zdobyć na żadną odpowiedź. On zaś ciągnął dalej z dumą:

— Chciałem tylko wpiereg uspokoić waćpannę, że nie przychodzę tu bynajmniej upomnieć się o dotrzymanie jakiegokolwiek bądź zobowiązań, lub choćby tylko o uznanie dla siebie. Nie mam do tego najmniejszych praw, gdyż rozumiem to dobrze, że w chwili ostatniego widzenia się naszego waćpanna byłaś powodowana jedynie współczuciem. Wdzięczny jestem jednak i za to, i przyszedłem właśnie, aby podziękować za tę, która mi oświeciła i dodała sił do nowego życia, a nie mam wcale tyle zarozumiałości, by czegoś więcej żądać...

A wskazując na otrzymany krzyżyk, który miał na piersiach, rzekł:

— Nie opuszczał mnie nigdy ani na chwilę... I dodał głosem wzruszonym:

— Wierzyłem, że on mnie ochronił od śmierci...

Ewa w tej chwili dopiero sama zrozumiała, że wówczas popchnęła ją bardziej uczucie litości, niż jakiegokolwiek inne,—ale obecnie było inaczej. Nie było już poświęcenia z jej strony, jak wtedy; teraz on ją przerósł i górował nad nią całą siłą swej męskiej godności. Nie mogło już być mowy o litości; sama czuła się pod władzą potężnego uczucia, które opanowało ją wszechwładnie i przed którym uchylała głowę z poddaniem.

Obecnie pół życia oddałaby, by wynagrodzić niesprawiedliwość, jaką mu w myśli wyrządziła. Podniósłszy nań oczy, w których wzruszenie zapaliło niezwykłe jakieś blaski, rzekła, wyciągając do niego rękę:

— Czy przebaczysz mi waszmość kiedy, że o nim zwątpiła?

A kiedy on, wzruszony i szczęśliwy, pochwycił tę rączkę, aby na niej złożyć pocałunek, dała ciszej, ze łzą w oku:

— Już nigdy, nigdy tego nie będzie, daję waćpanu słowo!

Magdzia, ujrawszy ich po chwili z daleka, jak siedząc na ławeczce pod lipą, rozmawiali pochyleni ku sobie, przyczem pan Jan trzymał rękę Ewy w swych dłoniach, uśmiechnęła się sama do siebie i szepnęła:

— Oho, już lody pękły, dzięki Bogu! Ciekawam, czy Jankowi bardzo będzie się spieszyło teraz, by nas porzucić?

Podczas gdy to się działo w sadzie, kasztelanowa, korzystając ze sposobnej chwili, gdy im nikt nie przeszkadzał, zaczęła pracować nad chorążym, by go zmiekczyć w jakikolwiek sposób. Skoro jednak tylko wymówiła imię pana Jana, chorąży zmarszczył się i rzekł:



— Pani siostrze, wam wiele wolno, poważam was bowiem i szanuję wielce, ale proszę was: nie wymawiajcie przy mnie jego imienia, bo chciałbym zapomnieć o tem, co mię tak srodze boli...

Skoro nadszedł proboszcz, kasztelanowa jego wezwała do pomocy i oboje szturmowali do cziekłego szlachcica, chcąc go ułagodzić względem synowca, ale on wciąż odpowiadał jedno:

— Nie gadajcie mi, pani siostrze, znam ja tę krew, niema tam ani na grosz stałości. Takim samym był jego ojciec... Ja mu już nic nie wierzę,—dziś, powiadacie, on się szczerze odmienił, ale któż mi zaręczy, że jutro nie strzeli mu do głowy jaka myśl szalona? Nie, pani siostrze, dajem parol szlachecki, że nie przebaczę—i dotrzymam słowa!

— Panie bracie, nie bądźcież surowsi od obcych,—wszak mu wszyscy przyznają, że okazał wielką waleczność, a zarazem przytomność ducha przy obronie zamku w Baworowie...

Chorąży machnął ręką i przerwał surowo:

— Nie jest to żadna zasługa pójść i porąbać się z Tatarzynem; jeśliby tem można było okupić wszystkie winy, najwięksi przestępcy snadnoby wyjść mogli na bohaterów. I jego ojcu na męztwie nie zbywało, ale cóż po męztwie, gdy niema poczucia powinności? Jeszcze łatwiej zaprowadzić może na bezdroża, bo wciąż popycha ku jakimś śmiałym imprezom. Taka natura, to istna łódź bez steru, którą wichher miota na wsze strony.

Magdzia tak umiała wszystko zręcznie urządzić, że ojciec ani się domyślał, że ona i Ewa codziennie w ogrodzie widują się z panem Janem, kasztelanowa bowiem, dopuszczona do tajemnicy, umiała przez ten czas zająć chorążego, a całą służbę, choć wiedziała także coś o tem, trzymała z panią. Więc choć stary szlachcic dostrzegał chwilami, że się coś dzieje niezwykłego, lecz jakoś nie dobadywał się bliżej prawdy.

Panu Janowi zawsze trudno się było rozstać z obiema dziewczętami i Magdzia nieraz musiała mu przypominać, że już czas odejść, gdyż się bała, by ojciec nie dostrzegł jej nieobecności. Zresztą wszystkim im trojgu było bardzo dobrze z sobą; Magdzia, patrząc na rozpromienione szczęściem twarze Ewy i brata, zapytywała figlarnie tego ostatniego:

— No i cóż, czy zawsze masz lat siedmnaście? Czy zawsze jesteś zniechęcony do świata, staruszkę?

— Nie, siostrzyczko, — odpowiadał młodzieniec, — przeciwnie, świat mi się zdaje teraz piękny i dobry jak nigdy!

— Jeśli tak, to dzięki Bogu; a teraz pożegnajcie się z sobą, bo my z Ewą musimy wracać do domu, inaczej tatuńcio się spostrzeże, że nas niema i będzie źle...

— Wszak ciocia obiecała nas ostrzedz, — rzekła Ewa.

— Jeszcze chwilę, Magdziu, — mówił pan Jan głosem proszącym.

— Nie prosicie, bo to na nic się nie zda, — odparła Magdzia niewzruszona. Nie dosę im, że się codzien widują, jeszcze chcieliby siedzieć tutaj do samej nocy i sprowadzić tem biedę na mnie i na siebie! A jak tatuńcio się dowie i nie pozwoli nam wyjść z domu ani na krok, to co będzie?

— Słuchaj, Magdziu, to tak dłużej trwać nie może, — rzekł pan Jan poważnie; — ja się ukrywać nadal nie chcę, bo tem tylko was narażam na gniew stryja. Niech będzie co chce, ale spróbuję go sam jeszcze przebłagać...

— Poczekaj, — odparła Magdzia, — czyż sądzisz, że już o tem nie myślała? Zrobi się wszystko, robi, tylko tymczasem nietrzeba żadnych nieostrożności, i dlatego raz jeszcze radzę waćpaństwu się rozejść.

— A więc do widzenia, do jutra, — rzekł pan Jan z westchnieniem. — A nie każcie mi waćpanny długo czekać na siebie, — dodał z daleka, już odchodząc.

— Cóż poczniemy, kiedy czasem trudno się wyrwać z domu, — odrzekła Magdzia, skinąwszy mu ręką na pożegnanie.

— Boże, Boże, jak to jeszcze z wujem się powiedzie, — rzekła Ewa po jego odejściu. — Strach mię przejmuję na myśl o tem...

— Co, już znowu strachy? — zawołała Magdzia, ruszywszy ramionami, — Co do mnie, to mam nadzieję w Bogu i w cioci...

— Tak, tak, musimy się jej poradzić dziś wieczorem, — rzekła Ewa.

Tegoż wieczoru kasztelanowa spostrzegła, że obie jej siostrzenice tajemniczo coś rozmawiają na uboczu, przyczem oczy ich błyszczały wielkiem ożywieniem, a twarzyczka Magdzy wyrażała tyle stanowczości, co oblicze wodza, który przygotowuje się wziąć szturmem miasto warowne.

— Cóż tam tak radzicie, moje dziewczęta? — spytała kasztelanowa, podchodząc. — Widzę, że coś układacie...

— Spisek, ciotuchno kochana, — rzekła Magdzia, całując jej rękę — i chcemy ciocię także wciągnąć do niego.

— Bardzo dobrze, ale o cóż idzie?

— Niechno ciotuchna idzie do nas, bo tu niebezpiecznie mówić, — rzekła Magdzia tajemniczo i obie uprowadziły kasztelanową do swej komnatki. Tam długo we trójkę toczyła się poważna narada, aż w końcu kasztelanowa rzekła, odchodząc:

— Niech wam Bóg dopomaga, moje dzieci, pomódlcie się obie, a może wasz zamiar się powiedzie.

I ucałowawszy obu ślicznych spiskowców, odeszła do siebie.

Nazajutrz po obiedzie przybył proboszcz do dworu i wszyscy troje, to jest chorąży, kasztelanowa i pleban, zasiadłszy w ganku, gwarzyli poważnie o różnych rzeczach. Nieznacznie rozmowa zesłała na pana Andrzeja, chorąży chwalił go bardzo i rzekł w końcu:

— Raz się już tak ciężko zawiódłszy na tym, teraz tylko cenię natury stateczne i prawe, jak u niego. Te też z największą ochotą przyjąłbym go za syna.

Właśnie, gdy tak o nim rozmawiano, nadjechał pan Andrzej i został bardzo serdecznie powitany przez wszystkich, bo i kasztelanowej się on podobał. Tymczasem weszła Magdzia i szepnęła ojcu:

— Tatuńciu, tam jest ktoś, co się chce widzieć z tatuńciem...

Chorąży ruszył w głąb domu, a kasztelanowa, która wiedziała o co idzie, powiodła za nim niespokojnym okiem i szepnęła coś proboszczowi. Magdzia zaś, zatrzymując ojca na progu, rzekła:

— Ale ten ktoś chce tatuńcia prosić o przebaczenie...

I dodała, całując jego rękę i podnosząc nań śliczne oczy zmarłej matki, któremi tak często gniew jego rozbijała: — A ja się okrutnie boję gniewu tatuńcia dla niego...

— Co to znaczy? — zawołał chorąży, zmarszczywszy brwi i oglądając się dokoła; — kto śmiały?...

I nie dokończywszy, pchnął drzwi z sieni do sali i stanął w progu wyniosły i surowy. Przed nim stał pan Jan, z twarzą zbladłą, z bijącym sercem, ale z głową podniesioną.

Lecz gdy chciał się zbliżyć, chorąży wyciągnął rękę z daleka, jakby chciał go powstrzymać.

Wszyscy obawiając się jakiegoś gniewnego wybuchu z jego strony, patrzyli na niego ze strachem, lecz on wyrzekł głosem chłodnym i spokojnym:

— Stój tam i słuchaj mię. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że nie dla żadnej prywaty, nawet nie jako opiekun obrażony, ale li tylko jako obywatel kraju wyłączyłem cię z rodziny...

Dla wszystkich ten spokój był rzeczą niespodziewaną, ale nie wróżył on nic dobrego.

— Powiesz może, że wina twoja została już odpuszczoną? — mówił dalej chorąży. — Tak, zarówno jak przebaczone już niejednemu zdrajcy i wicherzycielowi, — ale ja za to nie przebaczę!

A po krótkim milczeniu, podczas gdy wszystkie serca zamierały z trwogi, mówił dalej:

— Więc myślałeś, że bijąc się później z Tatarami, okupisz wszystkie winy, że wypłacisz już

za wszystko, nagrodzisz krzywdy niewynagrodzone nigdy, które ty i tobie podobni zadajecie? Wyście gorsi od Tatarów, wy wszyscy wicherzyciele i gwałtownicy! Tatarą wypędzić snadno, ale wy podkładacie ogień, który dom zniszczy, i wy to jesteście wrogami, wy! I dla tego nie ma dla was przebaczenia.... Bo przypomnij sobie, czyja to krew na twojej szabli? I nad kimże to popełnialiście gwałty wespół z żołdakami Rakuszanina? Więc jam na to cię wychował, na tom cię uczył, jak trzeba spełniać powinności? I mogłeś mieć nadzieję, że ci przebaczę, kiedy popełniłeś taką zbrodnię, kiedy się stał zabójcą? Słyszysz, nieszczęsny? — zabójcą!...

Oblicze chorążego, podczas gdy mówił, miało wyraz takiej jakiejś majestatycznej powagi, a zarazem kamiennej surowości, że budziło zarówno trwogę, jak i poszanowanie. Pan Jan stał w miejscu, spiorunowany słowy temi. Twarz jego była bladą jak marmur, jak gdyby ani kropli krwi w niej nie było. Zdawało mu się, że to nie stryj mówił do niego w tej chwili, ale ktoś inny, większy, potężniejszy, — ktoś, kogo bardzo ciężko obraził, i poczuł się tak strasznym przestępcą, że już dla niego nie było przebaczenia na ziemi.

Chorąży, spojrzawszy na niego, został nagle tknięty litością, bo zrozumiał, co się dzieje w jego duszy; lecz młodzieniec nie spostrzegł wcale tego poruszenia i z trudnością wydobywając głos z piersi, wyrzekł głucho:

— Macie słusność, panie stryju, tacy jak ja nie zasługują na przebaczenie. Pójdę pracować, aby choć kiedyś winy moje okupić...

I zawrócił się ku wyjściu, lecz zrobiwszy parę kroków, zachwiał się i musiał się oprzeć o stół, bo pociemniało mu w oczach.

— Zostań! — zawołał wreszcie chorąży, wruszony jego poddaniem się, — zostań, mój synu! Widzę teraz, że szczerze żałujesz tego, coś zrobił, a żal najcięższe winy gładzi.

Padł mu do nóg młodzieniec na te słowa, przejęty do głębi uczuciem wdzięczności, lecz on go podniósł i głowę jego przycisnął do piersi.

— Stryju..., ojcze! powiedzcie, czem mogę nagrodzić winy przeze mnie popełnione? — rzekł pan Jan ze wzruszeniem. — Wszystko oddam, co mam najdroższego!

— Uspokój się, synu! — rzekł chorąży. — Przełałeś już krew własną i o małoś życia nie położył w obronie granic, a mówiłem już, że szczerzy żal i pokuta nawet najstraszniejsze grzechy zagładza. Wszak Bóg rzekł, iż większe będzie wesele w niebie z powodu jednego żałującego grzesznika, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie grzeszyli nigdy; dla czegożby tu na ziemi miała być większa surowość. Byle tylko wszyscy ci, co wraz z tobą zawinili, wczesnie się upamiętali, a jeszcze niema nic straconego. Życie długie, i wiele może zdziałać dobrego ten, kto chce tego szczerze. Szlachta mogłaby się jeszcze poprawić, gdyby we własnym jej łonie znaleźli się tacy, co szczerze myśla o dobru popolitem.

— Jam już stary i niewiele mi się należy, Ignacy trzpiot i szalawiła, a ty, ty właśnie, obaczywszy świat szerszy i niejednego się nauczywszy na obczyźnie i w szkole doświadczeń i przeciwności, mógłbyś wiele zdziałać dobrego w swojej okolicy i rozjaśnić we łbie niejednemu, który gardlując na sejmiku przeciw hetmanowi, za poduszczeniem któregoś z nieprzyjaznych mu panów, myśli, że miłuje kraj i walczy o wolność szlachecką. Nie rozpaczaj więc, bo jeszcze możesz wiele zasłużyć się krajowi, a pracując gorliwie dla dobra powszechnego, zdołasz wkrótce zagładzić dawne winy.

Pan Jan dawał się chytywać chciwie te słowa, jakby się bał, by z nich nie uronić ani jednego; widać było, że dopiero teraz spokój powrócił do jego duszy; a gdy chorąży skończył mówić, z gorącą wdzięcznością przycisnął do ust jego rękę.

Reszta dnia zesłała już tylko na wspólnej rozmowie; nawet stary proboszcz nie śpieszył się na plebanie, lecz pozostał do późna we dworze.



w którym już dawno taka radość nie panowała. Pani Katarzyna najpierw rozplakała się z rozczulenia, a potem, na znak ukontentowania, włożyła nowy, odświętny czepiec.

(Dokończenie nastąpi).

## KORESPONDENCYA.

Reichenhall, Sierpień, 1898.

Przyroda obca, chociażby nawet bardzo piękna, czy: i wrażenie jakiejś cudnej królowej, której oddajemy hold winny, głęboki ukłon uwielbienia, ale nigdy by nam do głowy nie przyszło wynurzyć jej naszą miłość, tę miłość wierną i ślepą, jaką kochamy kawał rodzimej ziemi mniej uposażony w malownicze wdzięki. Tembardziej tutaj, w tym w rzeczy samej dość ładnym łańcuchu alp bawarskich, nie cisną nam się na usta takie znów bardzo gorące słowa zachwyty, i przeciwnie, nieraz, pytamy się samych siebie: dlaczego to takie okrzyczane, takie wychwalone, takie rozślawione? Może dlatego, że takie urządzone, uwygodnione, dostępne dla każdego, więc każdy gość wszystko widzi i nie zmeczy się dotarciem do każdego widoczku, który, gdyby nie mleczarnia lub restauracja, nie miałby sam w sobie dość celu, aby do niego jak do cudownego miejsca wędrować. Co tylko da się pokazać, to tutaj można obejrzeć; i gdyby wierzyć tym szumnym opisom przewodników i pójść wszędzie gdzie zalecają, to by się doznało tego samego rozczarowania jak przy „table d'hôte,” po wyczytaniu w „mênu” (prawie zawsze francuzkiem w Niemczech!) zapowiedzianej zupy żółwiowej, która w rzeczywistości przedstawia się na talerzu jako „kräftige wassersuppe, ohne Salz, ohne Butter, ohne Sahne” etc. a to, co miało w niej być żółwiem... to, moja piękna sąsiadko... czy to czasem nie jest ów tajemniczy, czarny... pomrów ślimiasty wedle ścisłej zoologicznej nazwy, który omijamy z pewnym nieprzyjemnym dreszczem po każdej ulewie, po każdej słotnej trzydniówce na ścieżkach parku i w ogrodzie. Ten ogólny zachwyty dla wszystkiego jaki tu wmawia się w gości, jest może bardzo dogodnym dla dużych i małych interesów miejscowości i okolicy, ale jeśli się odwrócić zdołasz od Niemca psującego wszystko swymi wykrzyknikami, to bardzo prędko dojdiesz do przekonania, że tutejszy Irwiesel nie jest piękniejszy od Gerlachu i Łomnicy, że brzegi Saalachu ani się nie umywały do Dunajca; takiej cudnej górskiej przeprawy na łodziach jak z Czerwonego klasztoru do Szczawnicy, nie ma tutaj wcale, a Morskie oko więcej ma poetycznej alpejskiej grozy, niż Königsee i Obersee. Tylko, że u nas przyroda to sierota, wyzyskują ją jak mogą, a nikt się nie zaopiekuje istotnie umiejętnie, z tem zacięciem cywilizacyjnym, które nietylko uprzęstnia to co wspaniałe i nadzwyczajne, ale wyzyskuje tego co tylko ładne i śliczne, aby nic z wrażeń nie zaginęło a wygoda zamieszkała wszędzie.

Właściciele domów, willi, schronisk, restauracji, zakładów kąpielowych u nas, niechby się tu przejechali dla elementarnej nauki, (a nawet i nauczki), co to jest porządek, czystość, dezynfekcja, co to są drogi, ścieżki, gościnnie, usługi około gości, urządzenie mieszkań, sal, spacerów, wycieczek i różnych przyjemności, które nie pozostawiają nic do życzenia a nie są bynajmniej droższe niż u nas, owszem, bardzo często tańsze obok prawdziwej wygody a często i wykwintu. Drobiazgowość Niemców w stawianiu ceny na poszczególne dogodności np. w mieszkaniu i w jedzeniu, może gości zniecierpliwiać, ale też nie zdarzają się tu takie malownicze sceny, jak owo w roku zeszłym uderzenie kamieniem w głowę turysty przez zuchwałego górala w Zakopanem, dlatego, że mu gość nie tyle da-

wał za jazdę ile on sobie podyktował. Tutaj jest cena, taksa, norma, czasem dość znaczna, ale już stała, bez utarczki i przykrości. Są szczegóły, któreby można poprawić tutaj; np. drogi silnie miejscami zwirowane, sprawiają nieprzyjemne skrzączenie pod nogami, które drażni ludzi nerwowych, za wiele jest wszędzie psów i piesków, za wiele i za nieostrożnie jeżdżących młodzieńców i nawet pań na bicyklach, tak, że było sporo wypadków najechania gości i spadnięcia z koła i, i za mało, za mało pogody! Na sześć tygodni pobytu, może zaledwie dwa tygodnie słońca i nieba czystego.

Ale pogody nikt nie poprawi, ona mieszka już taka w tej kotlinie. To, co sprowadza gości najwięcej, to są kamery pneumatyczne, urządzone podobno najlepiej w Europie. Patrząc na te żelazne pokoiki, ze ścianami pełnymi śrub, śrubek, rur, przewodników, w których na dwie godziny zamyka się pacjentów i poi ich się tem ściśnięciem powietrzem, pędzonym siłą motoru parowego, mimowoli kręci się głową—jakie to mądre! jakie sztuczne, podobno bardzo w odnośnych razach korzystne—i jakie—zyskowe dla właścicieli!

I dlaczego tak daleko po to jeżdżemy? czemu u nas grono lekarzy nie zawiąże spółki i nie urządzi podobnych kamer w Zakopanem—w Szczawnicy—choćby—w Ojcowie, ten tłum Polaków, który tu zjeżdża pozostawiłby swe pieniądze w krajowych rękach, a przedsiębiorcy niezawodnie by dobrze na tem wyszli. Ale—trzeba by te kamery urządzić tak, jak trzeba, nie byle jak, zupełnie po europejsku i nie nałożyć na nie ceny dwa razy wyższej niż zagranicą. Stałyby się one jak i tutaj, złotodajnym magnesem przyciągającym tłum gości i dobrobyt podnoszący miejscowość.

Całe zresztą Reichenhall to jedna naturalna kamera, otoczona wysoką ścianą gór i skał, cicha, bez wiatru, z powietrzem trochę zanadto dusznym, wilgotnym i jakby ciężkim, które jednak podobno bardzo dobrze działa na płuca. Ponad tą całą wygodną doliną wzniesmy się nieco wyżej i szerszą odetchnijmy przestrzeń. Patrz, tam mały kościółek S-go Pankracego i ruiny Karolowego zamczyska, tam jeden klasztor, tam drugi, tam trzeci, daleko aż w Berchtesgaden, wszystko to ślicznie położone; po czasach świetności zakonów średniowiecznych, po upadku rycerzy rabusiów, minęły ich walki duchowne i świeckie, minęły ich bogactwa, przepych, wiedza i swawola, a pozostało to, co niby najmniej w życiu potrzebne, poezya tych dawnych ludzi, ich fantazyja i zawadycka brawura z jaką osadzali swoje rycerskie lub ascetyczne gniazda, na orlich wyżynach, w chmurach prawie, na skał zrzębie, nad spienionymi strumieniami. Szerokie dusze potrzebowały przestrzeni, wielkie zamiary potrzebowały widoków, pieśni pełne uniesień potrzebowały powietrza, więc uciekali na szczyty i tam ostrzyli broń na wielkie zabory lub przewracali karty mądrych ksiąg, pełne scholastycznych arabesek, myśli i zawrotnych zagadnień. Dzisiaj „über allen Gipfeln ist Ruh,” cisza zaległa, i w ruinie mieszka—poezya.

— Czy chcesz ją obudzić, mój towarzyszu podróżny?

— Tak, echa przeszłości wywołam, niech wstaną—ożyją!

— Nie, lepiej ją obudzić jako hasło na przyszłość... Poezya nietylko w ruinach mieszka, ona jest zawsze częścią tworzących się rzeczy, żyje z niemi, i jak widzisz, sama jedna nieraz po nich zostaje na świecie.

— Jako sierota,—czy jako wdowa?

— Sierota... wdowa... Mój Boże! Słyszysz ten dzwon tam w dolinie? To dzwonią w klasztorze San Zeno. Stary klasztor, stary król go stawiał, Karol Wielki, i stoi tam do dziś kamieniny w korytarzu między stacyami, patrzy cicho na mury swoje z przed lat tysiąca, patrzy na czarne napisy na kamiennej posadzce, pod którą leżą mnichy Augustyjanie, patrzy w swe wielkie panowanie; niby święty on a niby bezbożnik, walczył dla światła, dla krzyża, w osmdziesiątym roku czytać się uczył po łacinie, a tysiące

ludzi dziennie ścinał, wiatrom imiona nadawał a ludzi zdmuchiwał, i oto patrzy, patrzy przed siebie, a w San Zeno dzwonią jak przed lat tysiącem, dzwonią po zmarłym, po zmarłym tutaj w Sierpniu, Polaku, doktorze medycyny W. młodym, rozumnym, szczęśliwym, przed którym leżało życie i praca, a pozostała wdowa i sierota, smutek w rodzinie, szczerba w społeczeństwie, kilka bluszczów leśnych na grobie, M. Boska Ostrobramska i dzwony w San Zeno... Słyszysz jak dzwonią, szeroko, echowo po szczytach...

— Słyszę i czuję, wspominam i pamiętam. Dzwony to dawne, dawne jak wiara, jak serce co w nich bije, jęczy i dźwięczy, dźwięczy aż w nieskończoność niebiosów i nuci tam u wrót po za chmurami, po nad doliną płaczu jeden ton srebrny, czysty i bezmiernie tkliwy—do widzenia.

Szczęсна.

## FLORYDA.

W ostatnich czasach, z powodu wojny hiszpańsko - amerykańskiej, półwysep Floryda wzrósł nadzwyczajnie w sławę wszechświatową. Tam to koncentrowały się wojska amerykańskie, od brzegów Florydy odbijały okręty, z tamtąd reporterzy wysyłali pierwsze depesze.

Ktoś przyglądający się bacznie mapie geograficznej Ameryki Północnej i mający umysł skłonny do symbolizowania, łatwo wysnuje z konfiguracji zatoki Meksykańskiej i brzegów Stanów Zjednoczonych, że przyczyną wojny z Hiszpanją była ambicyja północnych Amerykanów.

Floryda jest jakoby palcem wskazującym wielkiej ręki wyciągniętym dla schwycenia Kuby. Fantastyczny ten obraz w obec wypadków ostatniej doby, nabrał realnego znaczenia. Floryda może być także uważana za olbrzymi pomost do przenoszenia sił zbrojnych na Antyle.

„Floryda, opisuje Reclus, jest pozostałością znacznie większego niegdys ładu, ciągnącego się aż do ujścia Mississipi. Daleko wysunięta ku Antylom, formacją swoją, klimatem, florą i fauną należy do ziem Antylskich.

Floryda więc i Kuba są geograficznie pokrewnymi ziemiami. To pokrewieństwo ziem, zdaniem wielu Amerykanów, dawało im prawo do zaboru. Półwysep był łącznikiem między Yankeeami i Kubańczykami, przyjmował i żywił powstańców, zbiegłych z Hawanny i od dawna już był najbliższym świadkiem walki o niepodległość i buntów przeciw rządowi hiszpańskiemu.

Floryda leży między 24 a 31 stopniem północnej szerokości geograficznej, a nazwę swą zawdzięcza temu, że odkrytą została podczas Zielonych Świątek to jest, w porze najbardziej w kwiaty obfitej. Jest ona istotnie prawdziwym ogrodem Stanów Zjednoczonych i dla Amerykanów tem, czem jest dla Francuzów Riviera. Podczas zimy, wielu zagrożonych na zdrowiu chroni się na półwysep przed mrozami, które tu nigdy nie bywają dokuczliwe. Ruch przejezdnych w zimie jest na Florydzie tak znaczny, że nietylko statki, lecz i specjalne pociągi, „trains luxe” dowożą tam zimowych gości. Napływ największy trwa od Grudnia do Kwietnia. Nietylko zdrowotność wyjątkowa półwyspu sprawdza podczas zimy tak licznych gości, malownicze jego położenie, czyni pobyt na nim nadzwyczaj przyjemnym i urozmaiconym w dalsze i bliższe a zupełnie bezpieczne wycieczki. Najpiękniejsze wrażenia otrzymuje się jadąc w górę rzeki Saint John, albo dopływu tejże, Oklahawa. Ponura rzeka, pogrążona między przysrzącą się z obu stron potężną roślinnością, cyprysy obrośnięte zwieszającymi się mchami, nadają kraj- obrazowi charakter nadzwyczaj fantastyczny. Floryda poprzecinana jest jeziorami, które też wiele dodają jej uroku, niektóre mają grunt kamienisty i wodę tak czystą, że jak np. w jezioro-



rze Silver-Springs można widzieć przedmioty znajdujące się na dwadzieścia kilka metrów głęboko pod wodą. W jeziorach bardziej na południu półwyspu położonych, znajduje się ogromna ilość ryb. W tej stronie odnaleźć jeszcze można szczątki pierwotnych Indyan, pozostałe z rozbicia.

Pomimo ruchu podczas zimowych miesięcy i mimo warunków sprzyjających uprawie tytoniu, bawelny, trzciny cukrowej, Floryda nie rozwinięła się tak bajecznie szybko, jak inne części Stanów Zjednoczonych. Miast wielkich, ludnych na niej nie ma, najznacześniejsze: Jacksonville i Key-West liczą po 20,000 mieszkańców.

Są pewne przyczyny, które powstrzymały szybszy rozwój Florydy. Odebrana w 1763 r. Hiszpanom przez Anglików, następnie oddana im przez traktat w Versailles, na mocy którego Francja ustępowała jako kompensatę część Luizjany, Floryda została w 1819 r. sprzedana przez Hiszpanję Stanom Zjednoczonym. W owym czasie rząd Waszyngtoński znalazł się w obec olbrzymich przywilejów nadawanych dworakom, którzy, siedząc w Europie, ziemię eksploatowali przez swych dzierżawców, wyczerpujących ją z całą bezwzględnością do ostatka. Stany Zjednoczone zobowiązały się potwierdzić owe przywileje i trzeba było długiego czasu, aby wykupić dzierżawy i powierzyć je w lepsze ręce.

Kiedy dla Florydy rozpoczęła się era dobrobytu i rozwoju, to jest od 1835 do 1842, wybuchło straszne powstanie pierwotnych Indyan. Stłumienie powstania kosztowało niemało krwi i pieniędzy. Przeniesienie masy Indyan na wschód Missisipi, zdawało się zapewniać Florydzie spokój, lecz kiedy kraj zaczął już z niego korzystać, wtedy nowa wojna z Secesyjonistami zniszczyła ów błogi zasiew pokoju. W rzeczywistości więc Floryda dopiero od dwudziestu lat pracuje nad postępem. Handel rozwija się bardziej, aniżeli przemysł a jednym z głównych przedmiotów handlu stanowią pomarańcze. W jednym roku Floryda wysłała 612,500,000 pomarańczy. W ostatnich czasach rozwinęła się także eksploatacja lasów, które dostarczają drzewa wszelkich przedniejszych gatunków, używanych na meble, jak również potrzebnych przy budowie okrętów. Połów gąbek przy brzegach ma przed sobą wielką przyszłość. W okolicach miasta Okala odkryto niedawno tak bogate pokłady fosfatu, że wystarczyłyby na długie czasy dla potrzeb rolnictwa całego świata.

Główne miasta Florydy: Jacksonville nad rzeką Saint John, St. Augustin, Pensacola, Tampa, Ferdinanda, Appalachicola i stolica Stanu, Tallahassa (2,983 mieszkańców), odznaczają się prawie jedynie wyborem powietrzem i wspaniałą roślinnością. Z rzeczy ciekawych do obejrzenia zaznaczyć można: w Pensacola bardzo stary fort hiszpański, — w Tallahassa, przeszczepionym miasteczku, skapanem w ogrodach różanych, grób księcia Murata syna króla Neapolitańskiego, w St. Augustin wiele ciekawych śladów panowania hiszpańskiego. Miasto Tampa posiada olbrzymi hotel o tysiącu stu łóżkach, który służył za miejsce centralizacji armii amerykańskiej. Z portu Key-West, położonego na jednej z drobnych wysep, usianych przy południowym brzegu Florydy, wypłynęły okręty z wojskiem amerykańskim dla zajęcia Kuby.

Floryda została odkrytą przez Hiszpanów. Prowadzili oni zawsze błędną politykę względem swoich kolonii, nie umiając eksploatować bogactw bez wyczerpywania ich i od pierwszych chwil zajęcia Florydy okazali całą swą nieudolność kolonizowania. To co dziś zarzucają Hiszpanji, zarzucało jej w końcu XV-go wieku. Historia nie wiele doświadczenia przyniosła temu

narodowi. Wkrótce po odkryciu Ameryki, Hiszpanie osiadłszy na Antylach, czynili wyprawy na brzegi sąsiednie. Dążeniem ich było przede wszystkim wzbogacać się jak najszybciej przez poszukiwanie złota i ogrybianie tuziemców. Zabijano ich w końcu nie tylko dla grabieży, ale i dla zadowolenia ducha okrucieństwa, który tak charakterystycznym jest w hiszpańskim narodzie. Naiwni i zabobonni, z szaloną odwagą zapuszczali się w głąb łąd lub żeglowali na swych statkach dla zdobycia urojonych skarbów. Wypływali na poszukiwanie amazonek, albo jak stary Juan Ponce de Léon narażali się na bajeczne niebezpieczeństwa dla znalezienia źródła, w którym płynie woda wiecznej młodości. O wyprawach tych opowiadają stare roczniki z XVI-go wieku, spisane przez Hernando d'Escalante Fontanedo.

Zdobywcy nie osiedlili się od razu na dobre na Florydzie, dopiero z przybyciem tam Francuzów, zapragnęli ugruntować mocniej swoje posiadanie. W 1564 założyli na północy półwyspu miasto St. Augustyna, najstarsze z miast w Stanach Zjednoczonych. Z ludnością miejscową obchodzili się okrutnie, nazywając Indyan dzikimi ludźmi, mordowali ich z bezprzykładną zaciętością, to też mieszkańcy półwyspu ze zdumieniem a zarazem z radością powitali Francuzów, którzy przybywali tam z obyczajami zlagodzonemi i nie uciekali się do takich środków jak mord i rabunek aby zająć tę część nowego świata.

Nie ma już dziś owych pierwotnych Indyan na Florydzie i na Antylach, lecz Hiszpanie i z obecną ludnością nie umieli postępować właściwie. To było przyczyną zaburzeń i długotrwałej walki z powstańcami. Hiszpanie drogo zapłacili za ucisk i niedolę Kubańczyków. Stany Zjednoczone, mające swój interes ekonomiczny na względzie, skorzystały ze sposobności, by wystąpić w roli obrońców ucisnionych i kraj przez Hiszpanję wyzyskiwany wciągnęły w sferę swych interesów.

Z. S.

## Z bieżącej chwili.

— Na politechnice warszawskiej rozpoczęły się egzamina konkursowe, które w bieżącym tygodniu ukończone zostaną.

— Ministerium rolnictwa, przychylając się do wielu podań, uznało za rzecz pożyteczną tworzenie szkół gospodarstwo-wiejskich dla kobiet typów następujących: gospodarstwa domowego, mleczarstwa, wyrobu masła, tudzież specjalnych instytutów czyli kursów gospodarstwa wiejskiego.

— Jak wiadomo, wydawane w Cesarstwie książki, o ile mają objętość nie mniejszą nad 10 arkuszy, mogą się drukować bez cenzury prewencyjnej. Otóż ponieważ powstały wątpliwości co do rozmiarów arkuszy, przeto p. minister spraw wewnętrznych orzekł, że należy się tu kierować ilością liter, przyczem normę oznaczył 33,000 liter na arkusz druku.

— Z rozporządzenia ministerium oświaty do uniwersytetu warszawskiego przyjmowani mogą być tylko ci żydzi, którzy w patencie z ukończenia gimnazjum posiadają ogólny stopień 3 i pół lub więcej. Kandydaci, których stopień niższy jest od wymienionego, do uniwersytetu

przyjmowani być nie mogą. Jednocześnie procent żydów, przyjmowanych do uniwersytetów w Cesarstwie, zredukowany został z pięciu do trzech.

— Rodaczka nasza p. Skłodowska-Curie, zamieszkała w Paryżu, odkryła nowy pierwiastek chemiczny, któremu dała nazwę „Polonium.“

— Skarbcowi katedry plockiej przybył ma, jak donosi dziennik miejscowy, cenna pamiątka w postaci kamienia, znajdującego się pierwotnie na grobie króla Władysława Hermana, którego prochy, jak wiadomo, spoczywają w podziemiu tumu plockiego. Kamień znajduje się obecnie w rękach osoby prywatnej w Warszawie.

— Cukrownie w plockiem starały się o pozwolenie założenia czytelnicy dla robotników fabrycznych. Obecnie inicjatorowie tej myśli otrzymali od departamentu przemysłu i handlu wyjaśnienie, iż otwieranie tego rodzaju bibliotek wtedy dopiero będzie mogło nastąpić, gdy kancelarya J. O. General-gubernatora ułoży spis książek dla typu takich czytelnicy, co, jak już donosiliśmy, ma nastąpić niebawem.

— W katedrze na Wawelu roboty restauracyjne doprowadzają do coraz nowych odkryć. I tak pokazało się, że pomnik Władysława Łokietka, widziany tylko z trzech boków, ma czwarty bok również cały okryty figuralną rzeźbą, bardzo dobrze zachowaną. Po odsłonięciu całości sarkofagu, będzie to najkompletniejszy zabytek rzeźbiarstwa z pierwszej połowy XIV wieku.

## MYŚLI.

Największy rozum — cnota.

Z. Krasinski.

Uczucie spali — czego myśl nie złamie.

A. Mickiewicz.

Niema większego charakteru, nad charakter uczciwego człowieka.

Karol Linneusz.

Kto utrzymuje, że serce skrzepło mu od jednego ciosu, jednego zawodu, ten nie miał serca, bo serce jest jak krzak róży miesięcznej: jedno kwiaty uczuć wędną, drugie zakwitają, ale krzak trwa.

M. Ilnicka.

Serce to suma uczuć i najdoskonalsza ich harmonia, to miłość Boga, ludzkości, ojczyzny, kochanki i bliźnich.

Elpidon.

Jest to może miłość najlepsza, ta, w której nie ma nic szalu, nic namiętności, która przychodzi z wolna, ogarnia nas łagodnie, i staje się głęboką, na całą głębię serca.

Ryszard Kimbal.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 14 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

**Treść:** Nad Sobem, przez Kazimierza Glińskiego. — Kobieta angielska. Jej cele i dążenia. IV., przez Anatola Krzyżanowskiego. — Pamiątniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską. — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Bezkrólewie, powieść z bieżącej chwili. — Myśli.

**Uwaga:** obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkusz 14. Przekład Z. S. — Przegląd mód 30 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.